Wrzesień 2016

MAMMUTHUS MONTANUS

ssp. harnasiensis

224

PODORGAN MAMUTÓW SKPG „HARNASIE"

ERG 2016

Pasterka w Górach Stołowych

Piękny ostatni weekend września (24-25.09.2016) wielu Harnasi wraz z rodzinami i przyjaciółmi spędziło wspólnie w Górach Stołowych. Dlaczego tam? Bo na tegoroczną metę Ekskluzywnego Rajdu Górskiego wybrano Pasterkę – schronisko położone malowniczo niemalże u stóp Szczelińca Wielkiego. Dopisała nie tylko pogoda, ale też frekwencja i dobre humory.

Tegoroczny ERG przyciągnął dwukrotnie większe grono rajdowiczów niż poprzedni, a czterokrotnie większe niż dwa jeszcze wcześniejsze rajdy. Tym bardziej wynik 39 osób na mecie cieszy. Organizacji imprezy podjął się Stefan Brzezinka, który zaproponował nam zarówno różnego rodzaju trasy, jak i zadbał o wieczorny program.

Tras było do wyboru, do koloru, w tym między innymi rowerowa: Pasterka - Droga Stu Zakrętów - Radków - Ratno Dolne - Wambierzyce - Studzienno - Chocieszów - Szlak Liczyrzepy - Karłów - Ostra Góra - Pasterka (53 km).

Ostatecznie nikt się na nią jednak nie zdecydował i wszyscy wyruszyli obranymi przez siebie (co przewodnicy, to przewodnicy) ścieżkami pieszymi. W sobotni poranek dwie największe grupy, z dwóch różnych stron, zatakowały Skalne Grzyby, a po południu jedna z nich ukoronowała dzień odpoczynkiem pod Pasterką, druga natomiast wejściem na Szczeliniec. W niedzielę większość rajdowiczów wyruszyła w stronę Ameryki. Bo z Ameryki (niestety, to tylko przysiółek, wypraw za ocean na tegorocznym ERGu nie przewidziano) najlepiej startować w Broumowskie Steny, pasmo rozciągające się już po czeskiej stronie Gór Stołowych. Czyja noga tam jeszcze nie postała, ten czym prędzej powinien ją tam postawić. To prawdziwy skalny raj nie tylko dla miłośników geologii.

Fot. J.Ginter

W sobotni wieczór rozpoczęliśmy biesiadowanie od zejścia do „kazamatów" schroniska, by rozwiać wszelkie wątpliwości związane z „Początkami przewodnictwa górskiego" oraz „Kim była Pasterka". Pięć grup walczyło o wielkie paczki pysznych ciastek, rozwiązując niełatwe zadania sprawdzające wiedzę o przewodnictwie, Pasterce i pierwszym przewodniku po tych terenach Franciszku Pablu. Następnie trzeba było wzbić się na wyżyny pomysłowości i umiejętności graficznych w celu udzielenia odpowiedzi na pytanie: Kim była pasterka? Kim pasterka nie była! Ale o tym tutaj za długo by mówić… Ostatnie sobotnie godziny spędziliśmy wspólnie przy ognisku, górze łakoci, grze na gitarach, śpiewie i bezchmurnym gwiaździstym niebie. W międzyczasie rozstrzygnięty został jeszcze konkurs na strój i atrybut najstarszego przewodnika górskiego. Jury przyznało nagrody Lilce Cader i Jasiowi Kowalikowi.

Choć oba dni wypełniliśmy, pozostało trochę niedosytu – Stefan przypomniał nam o innych miejscach, w które można by się jeszcze udać. Były to m.in. Muzeum Kultury Ludowej Pogórza Sudeckiego w Pstrążnej, ruchoma szopka, Szlak Ginących Zawodów, Kaplica Czaszek w Kudowie Czermnej czy sama Kudowa-Zdrój wraz z Parkiem Zdrojowym i pijalnią wód. Zostaną „na zaś" – będziemy mieli przynajmniej pretekst, aby jeszcze nieraz wrócić w okolice Gór Stołowych.

W ERGu uczestniczyło 13 Harnasi: Ola Ginter, Rafi Suwiński, Ania Latusek, Metzger, Asia Śliwa, Jacek Ginter, Marta Kubiczek, Raketa, Jan Kowalik, Stefan Brzezinka, Lila Cader, Kasia Jamróz, Jan Madey.

Anna Latusek

RUMUNIA 2015 CZĘŚĆ 2

Druga część wyjazdu rozpoczęła się od oczekiwania na pociąg w Fagaraszu. W okrojonym składzie sprawdziliśmy jeszcze raz pogodę na najbliższe dni: ma być ładnie, plany pozostają bez zmian, szkoda jedynie, że ładna pogoda zrobiła się dopiero w drugim tygodniu, gdy połowa z nas powróciła już do domów. Po dojeździe do Ucei nabraliśmy wody z półautomatycznej studni stojącej przy dworcu i wyruszyliśmy drogą w kierunku centrum wsi w celu rozbicia namiotów. Prawdopodobnie nie zwrócilibyśmy nawet uwagi na człowieka łapiącego stopa, gdyby nie fakt, że Miki zwrócił uwagę na nas… Podszedł do nas, zapytał co robimy i dokąd zmierzamy, a gdy dowiedział się o naszym planie na nocleg, włączył ADHD (bo nadpobudliwość to za mało powiedziane) i automatycznie stał się naszym przewodnikiem. W tym samym momencie rozpoczęło się najszybsze i najdziwniejsze 20 minut w moim życiu. (Tłumaczenie własne, na podstawie ulotnej pamięci, tonu wypowiedzi i pojedynczych zrozumianych słów oraz przekazów kruczka.) „Ło matko, jak to, chcecie nocować w Ucei, tu niebezpiecznie, tu są Cyganie, musicie się stąd wydostać dalej, nie, nie autobusy, to tu nie jeżdżą wcale, chodźcie do baru, tam jest kierowca, on was zawiezie do Victorii, tam jest bezpiecznie, ja tam znam szefula, ja wam wszystko załatwię!" – zbaranieliśmy momentalnie, uciec od pomocy nie dałoby już rady, zostaliśmy więc zdani na łaskę Mikiego, a zanim zdążyliśmy chociaż pomyśleć o innych możliwościach, ten zatrzymał pierwszy nadjeżdżający samochód i nakazał kierowcy (bo trudno to nazwać prośbą) zawieźć nas do Victorii. Nie zdążyliśmy się nawet podzielić, kto jedzie pierwszym, a kto drugim przejazdem, gdy padło magiczne „una kursa". Jak niby mamy się załadować w 7 osób + bagaże + Miki + kierowca do (co prawda sporej, ale nie aż tak) Dacii Logan Van? Nie było czasu się nad tym zastanawiać, bo już nasze plecaki leciały do tyłu samochodu, a za nimi my. Sama podróż przebiegała jeszcze szybciej niż wszystkie wcześniejsze wydarzenia (jechałem z tyłu bez okien, więc mogliśmy tylko rozważać nad tym, na co zostaną przeznaczone nasze organy po dojeździe na miejsce – mnie od razu przypomniała się misja Hot Dog Homicide z GTA2 – za to siedzący z przodu z widokiem na drogę wspominali później wyprzedzanie na wiejskiej drodze, jadąc 100 km/h i trąbiąc na mijane auto), a wyjście na rynku w Victorii i zapłata kierowcy za transport (której część potrącił Miki dla siebie jako pośrednik) wcale nie oznaczały końca szaleństwa. Mieliśmy dwa cele: dowiedzieć się, gdzie jest sklep oraz znaleźć miejsce na rozbicie namiotów. To wszystko rzecz jasna Miki załatwi, więc najpierw biegaliśmy po wsi w poszukiwaniu sklepu, a gdy wyjaśniliśmy, że będzie on potrzebny dopiero jutro, kontynuowaliśmy bieg do (jak się później okazało) naszego miejsca noclegowego, czyli placu przed nieczynnym dworcem w Victorii. Droga na miejsce również biegła dziwną trasą, bo przechodziliśmy obok szpitala, internatu, kaplicy, w której trwały jakieś nabożeństwa nad trumną, cmentarza, zatrzymując się co jakiś czas, „bo Miki musi coś w naszej sprawie załatwić" – wówczas zostawiał nas w tyle, podchodził do jakiegoś człowieka i po chwili wracał, niekiedy zabierając szefa wyjazdu ze sobą. Gdy dotarliśmy na miejsce, zarządził rozbicie tuż obok skrzyżowania, objaśniając, że „tu mieszkają kompaniere, tam szeful policji, ale wszyscy o was wiedzą i no problemo, możecie stawiać namioty, a jutro załatwię wam prysznic, wszystko OK, przyjdę o 8 rano". Miki

c.d str. 2

opuścił nas dopiero wtedy, gdy mu zapłaciliśmy za usługę. Wówczas przystąpiliśmy do gotowania pulpy i zastanawiania się, co się tego wieczora wydarzyło. Bo chociaż wszystko poza transportem z Ucei do Victorii mogliśmy załatwić sobie sami (miejscówka noclegowa była znana, z tym że planowaliśmy rozbić się po drugiej stronie budynku, na polach, a nie przy asfalcie), to czymś zupełnie innym była możliwość spotkania Mikiego, poznania takiej osobistości. W Polsce raczej ciężko spotkać aż tak wybitnie wyróżniające się osoby. Trzeba mu też przyznać, że odpowiednie osoby w miasteczku poinformował o naszej obecności, bo gdy przyszedł w asyście dwóch policjantów, dali nam oni tylko do zrozumienia, że wszystko jest w porządku i możemy tutaj spać – „no problemo". Po jedzeniu poszliśmy więc spać, zastanawiając się, co przyniesie kolejny dzień.

14 września, Victoria – górna granica lasu w dolinie Vistea Mare

Przyniósł zaskoczenie – spakowani czekaliśmy w gotowości na powrót Mikiego, jednak gdy kwadrans po ósmej nadal go nie było, uznaliśmy, że nas wystawił – może dlatego, że dostał za mało kasy, może nie załatwił prysznica i nie chciał się pokazywać pokonany, może po prostu zaspał. Wyruszyliśmy więc sami na rynek w Victorii celem zrobienia zakupów i śniadania. Tam natknęliśmy się na masę ludzi – był to poniedziałek, dodatkowo początek roku szkolnego w Rumunii. Korzystając z okazji, nabraliśmy więc wody do butelek ze szkolnego kranu: nikt nie robił z tego powodu kłopotów, bez problemu wtopiliśmy się w tłum. Nie zabawiliśmy tam zbyt długo, trzeba było wyjść w końcu w góry. Szlak początkowo wiódł szeroką drogą, która w pewnym momencie zmieniła się w ścieżkę, przecinającą co chwila rzekę telepiącymi się pod nogami drewnianymi mostkami. Skoro Miki nie załatwił prysznica, postanowiliśmy skorzystać z alternatywy – jako że do doliny dochodziło jeszcze sporo słońca, zarządziliśmy kąpielului w rzece. Woda była masakrycznie zimna, co gorsza niedługo po wyjściu z niej słońce schowało się za górami (ściany doliny były dość strome), ale nikt nie żałował umycia się. Napotkani przy schronie w kształcie piłki Polacy także nie zepsuli nastroju swoimi opowieściami: co prawda wracali z zatopionego w chmurach i wietrznego Moldoveanu, my jednak mieliśmy stanąć tam dopiero kolejnego dnia, a wówczas pogoda miała się poprawić. Obóz założyliśmy nieco ponad schronem, w jednym z przyjemniejszych miejsc: polana na skraju lasu, z dostępem do wody i drewna (ognisko!), względnie równa i bezwietrzna, ponadto z pięknym widokiem na góry wieńczące dolinę Vistea Mare.

15 września, górna granica lasu w dolinie Vistea Mare – Moldoveanu – Cabana Podragu

Z prawie tygodniowym opóźnieniem, ale w końcu nadszedł: dzień zdobycia najwyższego szczytu Rumunii. Najpierw czekało nas jednak tysiąc metrów przewyższenia – niby tyle samo co dzień wcześniej, jednak wówczas rozłożyło się ono na cały dzień wędrówki, dziś natomiast zaczynamy strzałem z krańca doliny na Portita Vistei: około 2,5 km w poziomie, 800 m w pionie. Był to niewątpliwie najbardziej męczący odcinek, oferujący jako pocieszenie bogatą faunę: kozicę, świstaka oraz psa, który towarzyszył nam w najcięższym fragmencie podejścia. Nagrodą za wejście był widok z przełęczy na południową część Fogaraszy, łącznie z Lacul Valea Rea (góry te obfitują w malownicze jeziorka pomiędzy skalistymi szczytami). Dalsza część szlaku biegła już granią, oznaczało to zdecydowanie mniej podejść, a więcej względnie płaskiego terenu. Dodatkowo, niektórzy z nas zostawili plecaki na trzecim co do wysokości szczycie, Vistea Mare, dzięki czemu Moldoveanu można było zdobyć na lekko (wejście i zejście z niego prowadzi tą samą drogą). Wreszcie się udało, wierzchołek Rumunii jest nasz! I to dosłownie, bo poza naszą grupką nie ma na tym szczycie nikogo, a Tomek który dotarł do celu szybciej, przez godzinę siedział tam zupełnie sam. Ciężko sobie wyobrazić taką sytuację na np. Rysach, ale to właśnie dlatego Rumunia jest tak dobrym celem wycieczek – istnieje duża szansa, że nie spotka się na trasie nikogo. Widoki ze szczytu co prawda były, ale maskowane od czasu do czasu chmurami – przemieszczały się one na tyle szybko, że stojąc odpowiednio długo, dało się w sumie osiągnąć 360 stopni widoczności. Po zrobieniu pamiątkowych zdjęć z rozwieszonymi na szczycie flagami, wpisaniu się do księgi pamiątkowej i przymocowaniu harnasiowej naklejki wyruszyliśmy w dalszą drogę. Prowadziła ona głównym grzbietem Fogaraszy, w kierunku Balea Lac pamiętanego z pierwszego tygodnia wyjazdu. My jednak, w momencie zachodu słońca, skręciliśmy przed Varful Podragu w dolinę, na której skraju znajdowało się kolejne jezioro i schronisko. Udowodniło ono, że nie można wyrabiać sobie opinii o kraju na podstawie jednego miejsca, w szczególności tak skomercjalizowanego jak Balea Lac: Podragu było o wiele bardziej przyjazne turystom, co prawda standard był zdecydowanie niższy, jednak budynek chronił przed wiatrem i sprzedawał piwo, a to było najważniejsze po całym dniu chodzenia i zdobyciu najwyższego punktu w kraju. Po odpoczynku przystąpiliśmy do przygotowywania jedzenia i rozstawiania namiotów (znajdując dość równe miejsce, w którym wydawało nam się, że będzie wiało najmniej – i to się udało, bo wiatru praktycznie nie było, a w dodatku namioty po nocy zostały suche), po czym zasnęliśmy momentalnie, mając za sobą chyba najbardziej męczący dzień wyjazdu.

16 września, Cabana Podragu – Cabana Turnuri – Victoria

Bardzo spokojny w założeniach dzień. Ze schroniska (jak wspominałem – zupełnie innego niż te nad Balea, właściciele nie chcieli nawet opłaty za rozbicie namiotów) do wsi prowadzą dwa szlaki – jeden doliną, drugi grzbietem, przy czym szlak grzbietowy był zamknięty. Wobec tego wyruszyliśmy wzdłuż potoku do położonego 600 metrów niżej schroniska Turnuri, po drodze mijając konwój osłów transportujących drewno. Chwila postoju i czas wyruszyć dalej: trasa, choć przyjemna, ciągnęła się w nieskończoność, aż w końcu zmieniła się w szeroką drogę – tabliczka „Victoria 8 km" nie napawała optymizmem… W pewnym miejscu przystanęliśmy na dłużej – w ścianie skalnej przy drodze pojawił się regularny, owalny tunel – widać było wyraźnie, że nie jest to naturalna jaskinia. Kilku z nas wybrało się na poszukiwania Złotego Pociągu, jednak dość szybko wyszli z tunelu, nie chcąc budzić siedzących tam nietoperzy. Kopalnia zostaje więc niezwiedzona, a szkoda, bo spacer po jej tunelach mógłby być całkiem ciekawy – czas jednak nie pozwolił się tam powłóczyć. Do miasta i tak dotarliśmy już pod wieczór, a kolejnego dnia z samego rana chcieliśmy wyruszyć do Sybina na zwiedzanie i ostateczny powrót do domu. Do załatwienia w Victorii, poza rozbiciem się na ostatni nocleg w namiotach, pozostała jeszcze jedna sprawa – kąpiel. Poszliśmy więc pod internat, pytając o możliwość udostępnienia prysznica. „Nie da rady, ale poczekajcie, zawołam kogoś, kto mówi po angielsku, może z nim się jakoś dogadacie" – zanim ów poliglota do nas przyszedł, nagle pojawił się nie kto inny jak Miki. I znów ta sama gadka: cześć kompaniere, ja wam załatwię wszystko, mówcie tylko, co chcecie! Z mieszanymi uczuciami (w końcu dwa dni wcześniej nas wystawił, nie załatwiając praktycznie nic) poszliśmy za nim, w towarzystwie grupy dzieciaków (w Victorii grzeczne dzieci chodzą do szkoły, a te, które chcą coś osiągnąć, trzymają się Mikiego). Znów zabrał kruczka do jakiegoś mieszkania w bloku, znów nikt nie wiedział, co się dzieje (teraz wszyscy domownicy oglądają mecz i nie można się wykąpać, w ogóle załadowanie się 7 osób do jakiegoś mieszkania w bloku było dziwnym pomysłem), znów wyszli z masą nowych pomysłów – teraz idziemy na stadion! Miejscowa drużyna piłkarska wracała z meczu, mieli być za 10 minut, wystarczy poczekać i trener wpuści nas do szatni i pozwoli się wykąpać. Jako że było to jeszcze bardziej absurdalne niż wcześniejsze pomysły, Miki ciągnięty za język przyznał się, że tak naprawdę będą raczej trochę później niż za 10 minut, poza tym nic nie jest jeszcze załatwione i dopiero pogada z trenerem. To przegięło pałkę na niekorzyść króla Victorii, podziękowaliśmy więc za współpracę i odeszliśmy w kierunku dworca, odkładając mycie na dzień następny. Przed tym mogliśmy zobaczyć jeszcze jedną miejscową scenkę: ochroniarza przeganiającego miejscowego awanturnika, który zainteresował się również nami – co my tu robimy, jak to śpimy w namiotach w mieście, nie wolno nam – ja dzwonię do szefa! Tu akurat Miki się sprawdził, bo szef ochrony wiedział o naszej obecności, nie było więc żadnych problemów. Rozstawiliśmy obozowisko w miejscu sprzed dwóch dni, zaczęliśmy gotować ostatnią wspólną kolację, gdy podjechał do nas samochód, z – jak się okazało – kolejnymi miejscowymi szychami. Szef policji zdziwił się, że drugi raz przed jego domem wyrasta miasteczko namiotowe, zaczął pytać, co robimy, po co tu przyjechaliśmy, wszystko jednak w sympatycznej atmosferze – miejscowi byli dumni z faktu, że turyści z dalekiego kraju wybrali ich miasto jako cel swojej wycieczki. Właściciel busów z kolei mocno się zdziwił, gdy mówiąc o naszych planach na kolejny dzień, podaliśmy godzinę odjazdu jego autobusu do Ucei. Po rozmowie (przeprowadzanej łamanym rumuńskim, bo nikt z odwiedzających nas gości nie znał angielskiego) pojechali dalej, a my mogliśmy w spokoju pójść spać.

17 września, Victoria – Ucea – Szolnok, (pociągi nr 13-14)

Wczesnym czwartkowym rankiem wyszliśmy na przystanek, aby zdążyć na pociąg do Sybina. Dziwne miasto opuściliśmy ze świadomo-

c.d str. 3

ścią, że przyjeżdżając tam kolejny raz, trzeba szukać Mikiego, który załatwi tam wszystko i zapewni niesamowite wspomnienia (nawet jeśli nie wszystkie załatwienia były skuteczne). W pociągu ułożył się plan dnia: kąpiel, zwiedzanie, obiad, zakupy i powrót do domu. Na stacji sprawdziliśmy jeszcze dla pewności pociąg powrotny – kierunek: Budapeszt, godzina odjazdu: ANULAT 15-30 SEPTEMBRE. Hmmm… Po opanowaniu śmiechu w głowie pojawiły się dwie myśli: po pierwsze, jakie niesamowite szczęście mieli wracający tydzień wcześniej (3 dni przed odwołaniem pociągu, pomijam już fakt, że wówczas nie było żadnej informacji o planowanej likwidacji); po drugie – jak my wrócimy? Zapytanie w kasie oraz przeczytanie karteczek wiszących w okolicy rozkładów przyniosło jednak odpowiedź: pociąg nie jest odwołany, a po prostu przez te dwa tygodnie kursuje objazdem, przez co odjeżdża z Sybina dwie godziny wcześniej. Przyspieszyliśmy więc plan i poszliśmy w stronę rynku, gdzie najpierw zostawiliśmy rzeczy w hostelu i umyliśmy się przed podróżą, a później pozwiedzaliśmy stojące tam budowle (głównie kościoły w samym centrum, wszak czasu nie było zbyt dużo). Ostatecznie zjedliśmy obiad, dokonaliśmy zakupów na drogę (czyszcząc swoje portfele z ostatnich pozostałych lei, praktycznie każdemu z nas brakło kilku do zapłaty rachunku, przez co prysznic opłaciliśmy częściowo w euro, częściowo w lejach) i wsiedliśmy w jadący objazdem pociąg – ostatni na terenie Rumunii. Podróż pociągiem do Szolnoka była połączeniem drzemek, przełączeń lokomotyw i wagonów (praktycznie na każdej stacji kolejarze bawili się w formowanie składu), kontroli granicznych, oferty przejścia do wagonu sypialnego za niewielką opłatą, odwiedzin rumuńsko-węgierskiego wagonu barowego, zmiany czasu w zegarku, jak i dnia tygodnia, przejazdu przez inne przejście graniczne niż planowo – brakło jedynie standardowych kłótni o bilety (tym razem część z nas miała miejscówki ważne w czwartek, a część w niedzielę. Uznaliśmy, że konduktorom z powodu objazdów nie chciało już się domagać od nas łapówek).

18 września, Szolnok – dom, (pociągi nr 15-19)

Do Szolnoka dojechaliśmy grubo przed świtem, a i tak spóźnieni o około godzinę. Szczęśliwie nie był to problem – w przewidzianej na 24 godziny trasie były ok. dwie godziny luzu, więc opóźnienie oznaczało jedynie krótsze oczekiwanie na przesiadkę. W 15. pociągu na naszej trasie (Szolnok – Hatvan) wystąpiły dziwne problemy z oświetleniem, które powodowały, że co jakiś czas gasło światło w całym wagonie – a że za oknem ciemno, byłaby to dobra okazja do opowiadania strasznych historii (uchodźcy odczepili wagon), gdyby nie fakt, że byliśmy już zmęczeni dwoma tygodniami. Wobec tego w kolejnych pociągach (16: Hatvan – Fuzekle, 17: Fuzekle – Koszyce, 18: Koszyce – Żylina i 19: Żylina – Zwardoń lub Cieszyn) nie działo się już raczej nic wartego wspomnienia. Jedynie w Żylinie rozdzieliliśmy się na dwie grupy (jedna miała auto w Cieszynie, druga w Zwardoniu), aby ponownie połączyć się w Katowicach, w klubie podróżników Namaste, gdzie spotkaliśmy się jeszcze z kilkoma osobami i ostatecznie zakończyliśmy obóz w Rumunii.

Ogólne wrażenia z wyjazdu? Jak najbardziej pozytywne i chociaż euforia, która panowała tuż po powrocie (było świetnie, trzeba to powtórzyć!), już nieco opadła, to i tak wspomnienia i chęć powrotu, najlepiej w takim samym składzie (udało nam się zjeść całe mięso!), pozostają bez zmian. Co prawda podobne góry można znaleźć również u nas (to był mój pierwszy kontakt z czymś wyższym niż Babia Góra, od czasu wyjazdu odwiedziłem również polskie Tatry, które oferują podobne widoki), jednak w Rumunii są one zdecydowanie bardziej dzikie i nieodwiedzane przez turystów (a przynajmniej nie w takich ilościach), a ponadto ludzie mają tam zdecydowanie inną mentalność. No i wyjazd ponad tysiąc kilometrów od domu na dwa tygodnie to jednak o wiele większa przygoda niż na weekend w Beskidy.

Kamil Ziętek

HARNASIE NA WAKACJACH

W tym roku spędziliśmy 2 tygodnie na rowerach – nie za granicą i nie w górach, lecz w północno-wschodniej Polsce. Pokonaliśmy wraz z Paskudą, Darkiem oraz kilkunastoosobową grupą z AKT „Watra" kawałek szlaku rowerowego Green Velo z Białowieży do Gołdapii. W drugim tygodniu już we dwójkę wróciliśmy innym wariantem do Białowieży.

Drugą część wakacji spędziliśmy w gronie rodzinnym w Karyntii, przeplatając wycieczki rowerowe w okolicach Klagenfurtu i Villach pieszymi wypadami w góry (Karawanki).

Jacek Ginter

〰✹〰✹〰

My z Metzgerem zaczęliśmy wakacje w marcu, spędzając kilka dni w Kanadzie, w stanie Ontario. Ze względu na pogodę i fakt, że było to spotkanie głównie rodzinne, zobaczyliśmy przede wszystkim zielone okolice Hamilton (w tym Niagarę) i zwiedziliśmy Toronto. Ja dodatkowo załapałam się przypadkiem na śniadanie wielkanocne i zobaczyłam tamtejsze tradycje z Wielkanocą związane.

Na przełomie kwietnia i maja nadrobiliśmy zaległości zeszłoroczne i pojechaliśmy w podróż poślubną. W Ameryce Południowej byliśmy przez miesiąc. Zaczęliśmy od Atacamy, czyli od północy Chile, następnie przejechaliśmy przez Boliwię (Uyuni, La Paz, Tiwanaku, jezioro Titicaca), robiąc trekingi tam, gdzie się da (np. piękne camino del Choro obok La Paz). Na końcu dotarliśmy do Peru, zdeptaliśmy Kanion Colca, przeszliśmy szlak Salkantay na Machu Picchu i zrobiliśmy kilka wycieczek dookoła Cuzco. Z Cuzco wróciliśmy do Polski.
Teraz czeka nas ostatni tegoroczny wyjazd – tydzień w Portugalii. Głównym punktem programu będzie wesele w Santo Andre (Alentejo), a potem chwila w południowej części kraju, czyli na wybrzeżu Algarve.

Ania i Piotr „Metzger" Latusek

〰✹〰✹〰

Nasz wyjazd w tym roku był niewysoki. Najwyższy osiągnięty piechotą punkt to 131 m n.p.m. na Mull of Oa, więc nie ma czym się chwalić. Warunki pogodowe, czyli typowa dupówa, nie pozwoliły na zrealizowanie ambitniejszego celu: podejścia pod (a może i wyjścia) na któryś z Paps of Jura (785 m Beinn an Oir). Choć plan minimum zrealizowałem: wykąpałem się w Atlantyku, zobaczyłem Falkirk Wheel, zwiedziłem dwie destylarnie (zostało jeszcze sześć do zwiedzenia) i zobaczyłem kilka dotychczas „nie zaliczonych" gatunków ptaków. Żeby zobaczyć ich więcej, trzeba przyjechać tu wiosną. Obydwie wyspy, Islay i Jura, polecam miłośnikom długich i krótszych wędrówek często w niesamowitej scenerii i najlepszych, nie tylko moim zdaniem, gatunków single malt.

waszwypoczętyjmk

〰✹〰✹〰

Przeprowadziłem rowerową eksplorację Gór Ostojowych, udało się przejechać w poprzek ich głównego grzbietu oraz górną część doliny Głazówki. Było dziko i błotniście. Byłem też w Górach Sokolich na kursie wspinaczkowym.

Staszek Wierzchowski

〰✹〰✹〰

My już czwarty raz z rzędu włóczyliśmy się na rowerach po górach Rumunii. Jak zwyke w formule zbliżonej do PPR.

Tym razem zajrzeliśmy we wschodnią część Karpat Południowych. Byliśmy na Postavarul w g. Postavarul, na Omu w Bucegi, na Leaocie w G. Leaota i na La Om w g. Piatra Craiului. Na Rosu w g. Iezer-Papusa zabrakło nam czasu, ale chcemy tam jeszcze wrócić. Może zimą na skitury?

Marek Świech

〰✹〰✹〰

Ja swoje wakacje spędziłam wśród skał, jak na geologa przystało. Wakacje te były krótkie i mocno spontaniczne. Z zaplanowanych na wrzesień 2 tygodni nad jeziorami Zell am See i Gardą pozostało tylko wspomnienie, bo niestety od września wkraczam w dorosłość i zaczynam pracę.

Początkowo mieliśmy z Bartkiem spędzić 6 dni kajakując po Czarnej Hańczy, jednak mało optymistyczne prognozy skłoniły nas do wyjazdu bardziej na południe, gdzie pogoda miała być lepsza. Dwa dni spędziliśmy w Czeskiej Szwajcarii, robiąc tam dwie krótkie wycieczki – do Pravčickiej Brany i wokół Jetrichovic, podziwiając przy okazji lokalną architekturę. Baaaaardzo mi się podobało (wszystko, poza wąskimi drogami asfaltowymi z przerażającymi zakrętami) i na pewno chętnie tam wrócę, najchętniej na rower. Następnie przenieśliśmy się do Szklarskiej Poręby oglądając po drodze najlepszą chyba atrakcję wyjazdu – Pańską Skałę w Górach Łużyckich, czyli wychodnię ciosu bazaltowego. W Szklarskiej Porębie odwiedziliśmy stare kąty, czyli Schronisko u Rumcajsa. Spędziliśmy tam 4 dni, robiąc jedną krótką wycieczkę w Góry Izerskie i 2 dłuższe w Karkonosze. W Górach Izerskich udaliśmy się do znanego już nam kamieniołomu kwarcu „Stanisław" w poszukiwaniu wollastonitu (taki minerał) i na Wysoki Kamień. Ponieważ w Karkonoszach nigdy wcześniej nie byłam, a Bartek był, ale i tak nic nie widział przez mgłę, postanowiliśmy zaliczyć największe

atrakcje powszechnie znane. Celem pierwszej wycieczki było zobaczenie Śnieżnych Kotłów, których jednak nie zobaczyliśmy przez mgłę. Udało mi się za to skutecznie zmasakrować stopy, podążając wspaniale wybrukowanymi szlakami niczym średniowieczne trakty, z czego najbardziej „malowniczy" to ten na odcinku Szrenica – Wodospad Kamieńczyka. Drugie wyjście w Karkonosze to oczywiście Śnieżka. Z całego wyjścia na Śnieżkę najmniej podobała mi się właśnie Śnieżka. Taka trochę Szarlota w większym wydaniu. Już nie wspomnę o tym dzikim tłumie podążającym niczym do Morskiego Oka. A nie był to weekend, tylko środek tygodnia. Ale widoki dookoła bardzo malownicze. No i już nie muszę się wstydzić, że mnie tam nie było. Został mi jeszcze Giewont!

Cały wyjazd nie mógłby się odbyć oczywiście bez cesnakovej polievki, smaženego sýra s hranolkami a tatarskou omáčkou oraz hovězí gulášu s bramborovým knedlíkem.

Dodatkowo udało mi się na początku sierpnia jeden dzień spędzić w Małej Fatrze, robiąc krótką i urokliwą wycieczkę na Sokolie nad doliną Wratną. Kilka dni spędziłam również w Milówce, oglądając przez okno, jak pada deszcz.

Patrycja Michałowicz

Wraz z kursantem Dorianem, jego bratem Remikiem oraz dwoma innymi osobami byłem w słoweńskich Alpach Julijskich pochodzić nieco po ferratach. Alpy Julijskie nie porażają wysokością bezwzględną (Triglav – 2864 m n.p.m.), ale przewyższenia są już bardzo duże (1900 m różnicy poziomów pomiędzy schroniskiem Aljažev Dom w dolinie Vrata a szczytem). Udało się wejść na Małą Majstrowkę (Mala Majstrovka – 2322 m n.p.m.) z doliny Planicy oraz na Triglav z doliny Vrata.

Po trzech dniach zepsuła się pogoda i pojechaliśmy w kierunku wybrzeża, zaliczając po drodze słoweńskie podziemia (Jaskinie Skocjańskie, Jaskinię Postojną oraz kopalnię rtęci w Idrijii) i nadziemia (zamek w miejscowści Predjama, wąwóz Rakov Skocjan i wysychające okresowo Jezioro Cerknickie), docierając w końcu do Piranu i Triestu.

Krzysiek Krawiec

Ja jestem świeżo po super spontanicznych wakacjach w... Meksyku. Decyzję o zakupie biletu podejmowałam jakieś 30 sekund... i pojechałam, bez żadnego planu, nic nie wiedząc, co i jak, z garścią dolarów, kartą i paszportem w saszetce. Po drodze zwiedziłam Mediolan, zatrzymałam się na chwilę w Madrycie. Na lotnisku w 3 dniu rozbiłam telefon... no i fajnie :) odcięłam się od świata zupełnie. No prawie, bo w Meksyku internet tani jak barszcz i wszędzie kafejki. Wylądowałam w Cancun, zwiedziłam miliard Majowych miast, zrobiłam tryliard zdjęć, obadałam, jak strajkują nauczyciele w Meksyku, zwiedziłam miasto Meksyk, zobaczyłam, jak świętuje się Wniebowzięcie NMP w Huamantli (piękne dywany kwiatowe), podziwiałam cudowne wodospady Meksyku, jeziora i góry (nie było zbyt długich wycieczek, takie jednodniowe – pora deszczowa). Napotkałam na trasie huragan Earl (mówili o nim nawet u nas w telewizorni), wykąpałam się w Morzu Karaibskim i nad Zatoką Meksykańską, napiłam się mezcalu, zasalsowałam... i wróciłam do Polski bez bagażu. Linie lotnicze pomogły mi w transporcie, bo plecak był za ciężki i dostarczyli mi go po kilku dniach pod dom.

Agnieszka „Cieszynka" Matusiak

Pierwszą część urlopu, w drugiej połowie czerwca, spędziliśmy nietypowo, gdyż pierwszy raz od baaaaardzo wielu lat nie zabraliśmy samochodu. Przejechaliśmy Główny Szlak Sudecki na rowerach. Wybraliśmy wariant na lekko, tylko małe plecaczki, spanie i jedzenie organizowane na bieżąco. Jeden dzień zajął nam dojazd pociągiem do Jeleniej Góry i potem rowerem do Świeradowa, następny dzień jeszcze przeczekaliśmy deszcze, a następne 10 dni to właściwy GSS i na zakończenie powrót rowerami z Prudnika do Gliwic. Pogoda i kondycja dopisały; w górach raczej pusto, za wyjątkiem okolic przełęczy Karkonoskiej, Równi pod Śnieżką i Wielkiej Sowy.

Zdjęcia są już w naszej galerii (www.naszegory.eu).

Druga część urlopu – pięć ostatnich dni sierpnia to wyjazd w Bieszczady. Super pogoda, gliny przeschnięte i wygładzone na wielokilometrowych odcinkach singli... W górach pusto. Nieliczni piesi i jeden gość na MTB. Ale w dolinach wczasowiczów jeszcze sporo. Spaliśmy w Cisnej, pierwszego i ostatniego dnia udało się połączyć dojazd z i do Gliwic z wycieczkami.

Marta „Żaba" Kubiczek

c.d.n.

TO BYŁO

✔ 15.06 Egzamin państwowy na Przewodnika Beskidzkiego zdali Gosia Uman, Dagmara Góralska i Damian Nakonieczny. Gratulacje!

✔ 7.08 Wakacyjne Zebranie Rowerowe na trasie Racibórz – Rudy – rez. Łężczok – Racibórz Impreza zakończyła się ogniskiem. Było 19 osób. Lista obecności: Ola Ginter, Asia Śliwa, Marysia Orzechowska, Raketa, Lidka, Kuba, WW, Krokodyl, syn WW, syn Alojza, Nowy, Jola i Jacek Ginter, Żaba, Gosia Uman z Victorem i Tytusem, Ania Latusek i Metzger.

✔ 10.09 coroczne mamucie spotkanie na Wiewiórzysku.

✔ 24-25.09 ERG czyli Ekskluzywny Rajd Górski z zakończeniem w schronisku Pasterka w Górach Stołowych. Było 39 osób.

✔ 1.10 w USC w Zakopanem w związek małżeński wstąpili Marysia Orzechowska (blacha 387) i Szymon Maćkowiak.

TO BĘDZIE

✻ Zakończenie Kołowego Sezonu Rowerowego. Proponujemy następujące terminy: 08-09.10 lub 15-16.10 (sobota lub niedziela). Decyzję o terminie podejmiemy w zależności od prognoz pogody oraz Waszych preferencji. Wycieczka odbędzie się w okolicach Tarnowskich Gór. Obejrzymy m.in.:
- Brusiek – kościółek drewniany (15 km)
- miejsce odpoczynku zwane „Randez-vous" z wiatą, stołami, miejscem na ognisko (19 km)
- Tworóg (35 km)
- Brynek – pałac, ogród botaniczny (40 km)

Początek godz. 10:00 Brynek, parking na końcu ul. Wiejskiej za nadleśnictwem.

✻ 11.10 (wtorek) zebranie stacjonarne na terenie Gliwic o godzinie 17:30 (szczegóły już wkrótce).

✻ 21.10 (piątek!) zebranie w Planetarium Śląskim w Chorzowie o godz. 17:00 na seansie pt. „Gwiazdy dla opornych – gdy nie było GPS". Po zebraniu można udać się do „Leśniczówki", gdzie o godz. 19:30 jest koncert grupy „Czerwony Tulipan".

✻ 22.11 powakacyjna **Pecha Kucha,** czyli rodzaj prezentacji multimedialnej składającej się z 20 slajdów po 20 sekund każdy. Proponowane miejsce i czas: GCOP – Gliwice, ul. Jagiellońska 21, godz. 17:30.

Wakacyjne zebranie rowerowe - 07.08.2016

Spotkanie na Wiewiórzysku - 10.09.2016